

"Bajka o pasterskim psie, który zaprzyjaźnił się z niedźwiedziem "

Autor: Robert Maciejowski

U wylotu drewnianej góralskiej chaty zbudowanej przed laty z jodłowego drewna, na przetartym aż na półokrągło progu, stanął baca Jasiek. Miał to w zwyczaju, iż wstając skoro świt, wychodził jeszcze przed śniadaniem na ganek, ażeby w pierwszych chwilach nowo rozpoczętego dnia doglądać, czy wszystko w obejściu jego gazdówki jest zachowane w należyтым porządku. Wszak wszystko na co spoglądał w pierwszych chwilach dnia, było owocem ciężkiej pracy jego dziadków i ojca, oraz jego samego. Rześki poranek chociaż chłodny, wróżył bacy dzień słoneczny i pogodny. Chociaż na szczytach otaczających zamieszkałą przez bacę dolinę bielił się jeszcze mocno twardy zbity śnieg, to szum potoku płynącego poniżej drewnianego płotu odgradzającego gospodarstwo od lasu, oraz rozwijające się pięknie na zielono bukowe listki, były dla bacy wyraźnym sygnałem że zima schodzi do morza, a ciepła niosąca życiodajne owoce wiosna kroczy nieustępliwie. Był to już młody kwiecień, i równie wielkimi krokami co prawdziwa wiosna, zbliżał się również dzień świętego Wojciecha- jedno z najważniejszych góralskich świąt. Wszak to właśnie 23 kwietnia, w dzień świętego Wojciecha od zarania pasterskich dziejów wypędzano stada owiec na wypas. Baca Jasiek był osobą nieco starszą, bardzo doświadczoną w życiu oraz w pasterskim fachu. Mimo doświadczenia i przeżytych lat pozostawał jednak człowiek o wolnym, po góralsku Ślebodnym uosobieniu, doskonale dogadującym się ze wszystkimi pokoleniami ludzi z którymi miał do czynienia. Jego otwartość i serdeczność powodowała, że młodzi chłopcy z wioski i okolic, jeżeli byli zainteresowani "Juhaskom", o tym czasie tylko wyglądali bacy Jaśka, a sami zaczepiali go przy każdej napotkanej okazji słowami :

- Baco, kie mogymy przyjś, coby wom pomoc przyryktowaj wsytko na wyjści w hole?

Baca wówczas, z lekkim dającym się odczuć dystansem, jednak radością w sercu i w oczach, odpowiadał młodym chłopcom zgodnie z zamiarami. Gdy nadszedł ten dzień, owce zebrane z całej wioski gazdowie, czyli gospodarze przybędzili do kosora. Policzone, poświęcone i przeprowadzone wedle zwyczaju przez łańcuch, ażeby tak jak ten łańcuch były ze sobą cały sezon na hali razem i nigdy się nie rozłączały, ruszyły na hale. Oprócz chłopców którzy z radością pełnili Juhaski obowiązek od samego początku, szły z nimi równie ważne co i juhasi, dwa piękne stworzenia o imieniu Gazduś i Redyk. Były to dwa piękne psy pasterskie. Redyk, pies stary i wysłużony przy pracy z owcami to ojciec Gazdusia, bardzo młodego lecz już solidnie zbudowanego owczarka. Gazduś, otrzymał takie imię, gdyż odkąd tylko zaczął chodzić, przejmował inicjatywę we wszystkich zabawach oraz zawsze musiał być w centrum uwagi. Baca Jasiek nazwał go w ten sposób po raz pierwszy, i tak został Gazdą. A że był wówczas jeszcze mały i tak poważne imię mu nie pasowało, to wszyscy wołali na niego Gazduś. Jego Ojciec Redyk, pies który znał ten świat już od ponad dekady, przyszedł na świat właśnie o czasie wypędzania owiec na hale - ten dzień nazywa się właśnie Redykem. Cała gromada szła wesoło przez wioskę śpiewając i gwizdząc, a ciekawy świata i tego co się wydarzy Gazduś, biegł to z przodu to z tyłu pasterskiej drużyny i owiec, nie

mogąc opanować emocji i ciekawości tego wielkiego, pierwszego w jego życiu wydarzenia. Wcześniej przez kilka miesięcy mógł tylko słuchać opowiadań swojego Ojca Redyka o pracy na hali, o zaganianiu owiec, o wilkach, niedźwiedziach, zbójach i zbójnikach z którymi przyszło mu wiele razy się spotkać podczas pobytu w górach. Po solidnej, kilkugodzinnej wędrówce, cała załoga wraz z kierdłem owiec poczuła na swych spoconych skroniach wyraźnie mocniej bijące ciepło słoneczne, oraz dostrzegła iż gęsty ciemny bór znacząco się przerzedził i rozjaśniał od błękitnego nieba oraz ostrych wczesnowiosennych promieni. To oznaczało tylko jedno; zbliżyli się do skraju ogromnej polany leżącej na grzbiecie górskiej przełęczy. Mijając wysokie borowniki i młode przylegające do granicy lasu smereki, nierzadko powyginane i przytwierdzone do ziemi wciąż zalegającymi na tej wysokości resztkami zmarzłego zbitego śniegu, oczom ich ukazała się potężna Hala Cudzychowa, zwana przez Słowaków na ich stronie Krusetnicką Holą. Nie przestając w miejscu, cała drużyna przemierzała hale od kraiska, czyli od skraju hali, stromo w kierunku Szałasów który stał po drugiej stronie. Wrota szałasów skierowane były w kierunku Pilska, zaś jego tylna część do której dobudowana, a po góralsku „przycyniono” była koliba (czyli niewielka budka która była postaniem dla juhasów), skierowana była na Palenicę, która przez miejscowych górali nazywana była Tonecnikiem. Tonecnik swą nazwę zawdzięczał bawiącymi się tam hucznie zbójnikom, gdzie wolni od zamkowego oręża mogli „Tajcowaj” i bawić się w najlepsze.

Baca, osoba najważniejsza w tym dniu, w tym miejscu, zdjął z głowy kapelusz, rozejrzał się wokoło, i z chwilą zadumy, czyniąc znak krzyża, otworzył drzwi bacówki. Wypowiadając po cichu tylko jemu znane formuły, wszedł do środka. Juhasi zapędzili do wcześniej przygotowanego kosora owce, po czym podążyli za bacą Jaśkiem. Pradawnym zwyczajem baca po wymówionych w ciszy i skupieniu formułach zajął się rozpalaniem warty, czyli ognia który wedle obyczaju miał płonąć aż do zakończenia pasterskiej posługi w danym roku. Ustawił zawatarnik (kawałek drewnianego pnia) pod nim złożył chrust i podłożył ogień. Lekko odsuwając jadwige (ruchomy metalowy drążek na którym zawieszany jest kotlik nad ogniem) podniósł się do góry, ponownie szepnął coś pod nosem, przeżegnał się i wyszedł z szałasów. Juhasi na wzór bacy również zmówili pacierz na dobrobyt i powodzenie, po czym zakończywszy drobne prace, posileni udali się na krótki spoczynek, tuż przed pierwszym wieczornym dojeniem. Stary i doświadczony pies Redyk, chcąc przekazać swemu synowi i następcy informacje o powadze oraz obrzędowości dzisiejszego dnia, rozglądając się wokoło dostrzegł, że młodego szczeniaka nigdzie nie ma. Z lekkim niepokojem szcęknięt kilka razy, ale nie tak jak na wilka czy niedźwiedzia aby nie wprawiać niepotrzebnie w niepokój bacy i juhasów. Na szczęście zareagował szczeniak który słysząc to, pojawił się za kilkanaście minut cały i zdrowy.

- Na ka ześ był?! - zapytał stanowczo Redyk Gazdusia. - Jeześ tu piyrsy roz, potynżne lasy i wyrchy ktore nos łotacajom som niezmiyrzone podstympane i zdradliwe, kces sie stracij i wyyncyl nie wrocij?!

-Przeprosom Wos Tato! - odparł Gazduś - Ale tu jes telowny piykny świat, wsytko wyglondo tak blisko i dostympnie, ze nie poradziłek chynci sprowadzynio chocias tego co widzom!

-No dobre, ło tela nic. Ale boc se dobrze ze samymu z holi schodziz nie wolno!

-Dobre tato, som jus nika daleko nie pude - powiedział posmutniałym, lecz nie do końca przekonującym głosem młody Owczarek. Na hali nadszedł czas wieczornego dojenia. Owce zagnane w kosor zostały wybierane po trzy, po jednej na jednego juhasa, i w specjalnie przygotowanym miejscu zostały dojone, odgradzając te wydojone od tych które nadal czekały na swą kolej. Po zakończeniu pracy, juhasi oraz baca położyli się spać. Noc spokojna, zimna i gwieździsta pozwalała dostrzec głębokie zakamarki polany po której snuł się dym wychodzący spod strzech i szczytów szałas. Młody pies Gazduś leżał ze starym doświadczonym redykiem i rozglądając się wokoło i nasłuchując, zachwycał się otaczającym go światem. Niby cicho i spokojnie, jednak wszystko takie żywe, i juhasi na spoczynku jacyś tacy czujni, i owce w kosorze coraz zdające się przez płytki sen obserwować co się dzieje. I pod takim znakiem upłynęła pierwsza noc. Rankiem gdy juhasi wstali na pierwsze, jedno z dwóch dojeń, słońko nieśmiało przebijało się pierwszymi promieniami nad kojcyście, to znaczy ostre Wierchy smrekow, powoli ogrzewając mokrą od rosy i zimną polane. Po zakończonym dojeniu które wyglądało podobnie jak wczoraj, juhas Wojtek ruszył z kierdlem po polanie, żeby owce napasły się świeżą roślinnością górskiej hali. Wesołe pogwizdywanie juhasów naprzemiennie ze zbyrceniem dzwonek dało się słyszeć hen wysoko aż na Pilsku. Kiedy Wojtek pilnował owiec wraz z dwoma psimi kamratami, reszta załogi została na szałasie warząc mleko i przygotowując wszystko pod produkcje sera. W pewnym momencie, stary Łowcar redyk, u szczytu hali przy granicy z Orawa, zwęszył znany mu doskonale zapach. Mdły, kwaśny i bardzo donośny pomimo, iż wyraźnie daleko od hali. Warknął na wznak, a juhas Wojtek, podnosząc głowę do góry starał się dosłyszeć strzelających gałęzi. Bezskutecznie.

- Coz to warcys Redyk po próżnicy?! - Nie mając zmysłu węchu tak czułego jak pies, nie domyślił się dlaczego pies warczy wiedząc jednak, że nie na darmo.

– „Moze zajonc lis albo kuna”, strzydz nos bracie przez duzym zwiryzym a nie przed lisami. - powiedział żartobliwie do psa i poszli razem polaną. Po minionym dniu gdy nastąpiła noc, każdy obecny na hali dostępował swego miejsca pełniąc należny mu obowiązek. Noc spokojnie mijała, ze wschodu zdało się powoli dostrzegać szarzejący punkt a w nim zarysowujący się na czarno wierzchołek babiej gory. Wtem spokojne czuwanie psów zakłóciło coś od strony porośniętego „Cornom smerecynom” orawskiego Munczolika. Nie trzeba było długo czekać, bo już w tym momencie na skraju hali pojawiła się potężna kudłata postać.

-Niedźwiydź! -krzyknął podrywając się błyskawicznie z polowego postłania łowcorz Wojtek. Gazduś przerażony ale i podekscytowany szczekał przy kosorze, obserwując wezbranego do biegu swego ojca za którym z fakłami, czyli pochodniami pobiegli juhasi w kierunku wielkiego zwierza. Psy szczekaniem a juhasi ogniem i krzykami odgonili stojącego na dwóch łapach w skraju polany i ryczącego niedźwiedzia. O poranku podczas swych zajęć baca i juhasi rozprawiali o minionej nocy. Psy spokojnie odpoczywały. Mijały kolejne dni. Gazduś ciekawy świata coraz śmieiej przemierzał pobliskie potoki i lasy, poznając okolice i sprytnie wracając ku hali na czas. Pewnego razu podczas takiego nie do końca dozwolonego spaceru zastała go burza. Gazduś zagubiony wśród ogromnych paproci i jeszcze większych drzew, stracił poczucie orientacji. Wędrując za odzyskaniem drogi powrotnej po słowackiej stronie,

wszedłszy między skały, cały czas w dziwnym niepewnym przekonaniu, natknął się wprost na wielkie czarne zwierze. Równie zaskoczony niedźwiedź, podobnie jak ówczesnej nocy na skraju polany stanął na dwóch łapach i głośno warknął w kierunku młodego owczarka. Gazduś wystraszony powiedział do niego;

- Nie rob ze mi nic złego, jo broj Boze nimom złyk zamiarow! Straciłek sie długi cas tymu i obco mi jes droga powrotno ku Holi

Niedźwiedź zbliżył się i powiedział;

- Jo krzywdy?! Nady przecie to Wy i ludzie całe casy mnie i inne niedźwiedzie gnoście i mocie nos bardzo nierod. Kie my ino sukomy jedzynio, bo w zimie tu w gorak nima go ani na palusek, a zima ciynsko i długo.

Gazduś widząc że może poczuć się pewniej i że nic mu nie grozi odparł;

- Jo na holi jes piyrasy roz, nie wsytki zachowania i łobycaje znom, a i nie wsytki rozumie. Razym z moim tatom, bacom i juhasami pilnujemy bacowskiego i ludzkigo dobrobytu, który powierzony zostół nom wedle tradycji na całe lato, coby sie nim w holi zajmowaj. Po twoim najściu juhasi policyli łowce, dali nom w nagrode po kawołku dobrej spyrki i wszyjscy zabocyli ło wydarzyniu.

Niedźwiedź równie uspokojony kontynuował;

– Przysełek tu w ty strony sukajyncy schroniynio i jedzynio. Moja mama pomarli i zostółek som. Dokuco mi głod, kłusownicy i samotność.

–

Gazduś namyślał się chwile i nieco zdziwiony i smutny powiedział;

- Wynch mos lepsy, we wyrchak jeześ duzo lepsy w porusaniu sie pomiyndzy smyreki, skole ferecyny i kosowke. Wiys jako stela donś ku cudzichowej holi?

Na co niedźwiedź odparł;

- Wiym dobrze bo łod duksego casu zek wos łobserwowoł z nadziejom na lepsy zywoť dziynki Wom. Zlywki i wode po łoscypkak co Juhas nieroz wyłoł pod młodnik to jo dojadół nocami łodkond zeście som na holi.

-Ej to dobrze moj łociec cuł.

- Dobrze, - powiedział kudłaty niedźwiedź - i jo cuł wos łod dnia kieście sie w te wysoki wyrchy wybrali.

Szli dobre dwie godziny orawskim borem, gdy oboje stwierdzili;

-Hola przed nami. Stela jus trefis - powiedział niedźwiedź do psa. Gazduś odparł mu;

- Spotkoymy sie tu nastympnego słonecnego rania, bo teros sie zdo ze bydzie strzyc pore dni. Przejdymy na Polskom strone i pokoze Ci miyjsce kany fioletowo łod borowek, a i kapke desca starcy coby całe grapy pokryły sie w prowdziwkak. Leśnego jedzynio Ci nie braknie, a i jo łodstompiym Ci swoigo, bo mi na holi nie zbywo, ale i nie brakuje.

Niedźwiedź uradowany zaistniałą sytuacją przytaknął i poszedł w swoją stronę.

Faktycznie tak jak oba zwierzaki wywnioskowały, pogoda była burzliwa i deszczowa przez pięć kolejnych dni. Gazduś nie ruszał się z hali, swoim słuženiem dał tym bardziej przekonać do siebie swego ojca i juhasów, a i baca zwykł mawiać do starszego wysłużonego Łowcara;

- Ej redycku! Przekozołeś Ty tymu małymu pastyrzowi swoj fach!

Po ulewnych dniach nastąpiło słońce, wedle umówionego miejsca i czasu dwa włochate, jeden ogromny a drugi mniejszy zwierzęta spotkały się. Z wzajemnym zaciekawieniem i wyczekanyym spełnieniem umowy poszli wraz w las pod hale Cebulową, przez gęste młaki i skalne wykroty dotarli do pięknego świerkowego lasu przerośniętego fioletowym borownikiem, spod którego coraz to wystawały ciemne główki borowików.

- Tę jedynio! Tę dobroci! Jako to było że jo tego nie zwynsył nosym ani chodziniym?!

Sprytny i inteligentny Gazduś wtrącił się;

- Widzis niedzwiadku kiel grapy dookoła, stę zapach tak wysoko nie idzie. A i spacerowaj Tobie wielki zwyrzu jes tu na tę polskom stronę nie po drodze. No, to już teros przyjacielu głodowoł nie bydzies. Jo zawse hyne Ci cosi ze strawy, łopowiyım całom historie Łojcu a i juhasom jako byde mog - bo my sie rozumiymy chociaż jynzyki momy inkse. Chłopy i łocięc mię docyniajom a i historia sie im zwidzi. Wszycy tu w tyk gorak bydymy żyć dobrze i dostatnio.

Po wszystkim Gazduś wrócił na hale i wszystko opowiedział Redykowi, a ten zdziwiony kładąc się obok młodego pieska i liżąc go po głowie powiedział;

- Młodyś jes moj synu ale bardzo mondry. Baca i juhasi docyniajom Cię. Ze zwyrzym piyknieś się dogodoł a ta historia zostanie w holak i bydzie przekazywano z pokolynio na pololynia, po kiel ludzie i psy bydom w holak Gazdowaj. Wiyc se ino, że nie zawdy i nie kozdymu się ufo, ale głodnymu trza pomoc, bo korzysto na tym nie ino jedyn. Tymu co się bardzo staro, zawse worce. Z drugi strony, trza se zawse być mondrym i nie być w gorkij, to znacy goroncej wodzie kompanym.

Zadowolony pochwałą młody owczarek zasnął. Tak minął im ten pasterski sezon aż do świętego Michała, kiedy to cała gromada bez uszczerbku na owcach i wyprodukowanych dobrach zesła wesoło w dolinę.